

Za dużo - kogo i czego?

Na zarośniętych ścieżkach...

Przeludnienie wymieniane jest notorycznie jako jeden z głównych czynników sprawczych kryzysu ekologicznego. Wiele osób uważa wręcz, że zbyt duża liczba ludzi na Ziemi, to podstawowy problem - inne są wobec niego wtórne. Ja natomiast wobec tzw. teorii przeludnienia pozostaję sceptyczny.

Muszę na wstępie stwierdzić - żeby uniknąć nieporozumień - iż nie jestem zwolennikiem wzrostu liczby ludności. Po pierwsze, bardziej cenię jakość niż ilość, więc ani religijne, ani świeckie uzasadnienia stałego przyrostu populacji nie wydają mi się mądre - bardziej interesuje mnie to, jacy ci ludzie są, jak żyją, jaką kulturę pielęgnują, niż to, ilu ich jest. Jeśli do tego problemu próbuje się zaprząć pseudoargumenty ekonomiczne - które mówią np., że jeśli będzie nas mniej, to nie starczy osób w sile wieku, by wypracować emerytury ludzi starszych - moja niechęć do „ilościowców” jeszcze bardziej rośnie. Równie dobrze można bowiem argumentować, że skoro wyprodukowano tyle broni, to powinniśmy się bez opamiętania wyżywać, aby zrobić miejsce w magazynach na nową broń, bo w przeciwnym razie jej producenci stracą pracę.

Po drugie natomiast, źle się czuję w zatłoczonych miejscach i uważam takie realia za jakieś chorobliwe wynaturzenie, niezgodne zresztą - co już dawno dowiedli np. etolodzy - z biologicznymi preferencjami naszego gatunku. Jak więc widać, wcale nie jestem rzecznikiem stałego wzrostu liczby ludności, a wręcz wolałbym, aby osobników naszego gatunku było mniej - przynajmniej na niektórych obszarach. Nie zmienia to jednak faktu, że teorie o przeludnieniu wydają mi się mocno naciągane w kontekście rozważania przyczyn kryzysu ekologicznego.

Jasne jest, że każde siedlisko ma określoną pojemność - jej przekroczenie prowadzi do dewastacji terenu. Z tego punktu widzenia niewątpliwie wiele miejsc na Ziemi jest przeludnionych i skutki tego są tragiczne dla przyrody - ponad 3 miliony turystów w Tatrach każdego roku to liczba co najmniej dziesięciokrotnie za wysoka, aby nie tylko dyrekcja parku nie miała powodów do zmartwień, ale także, by faktycznie przyroda owego terenu mogła żyć i trwać w spokoju, wedle własnych praw, nie zaś ciągle dostosowywać się do intruzów.

Z drugiej jednak strony, znacznie ważniejsze w skali globalnej - gdzie wiele jest miejsc skromnie lub wcale zaludnionych - jest nie to, **ilu** ludzi liczy Ziemia, ale **jak** oni żyją. Możemy narzekać na wysoki przyrost naturalny w Afryce, ale służy to tylko i wyłącznie łatwemu i taniemu rozgrzeszeniu nas samych oraz zepchnięciu winy na innych. Bo prawda jest taka, że te dziesiątki milionów Afrykańczyków oddziałują na ekosystem w znacznie mniejszym stopniu niż kilkaset tysięcy mieszkańców krajów bogatych, z dominującą kulturą konsumpcyjną. Mam pod ręką tylko dane sprzed kilku lat, ale główny trend się niewiele zmienił. Oto kilka z nich: Przeciętny obywatel USA lub kraju zachodnioeuropejskiego w ciągu swojego życia zużyje ponad 50 razy więcej surowców i przyczyni się do powstania o tyle razy większej ilości odpadów niż przeciętny mieszkaniec kraju rozwijającego się. 86% światowej konsumpcji przypada na 20% populacji Ziemi, na ogół mieszkańców krajów bogatych. Wspomniane 20% ludności zamieszkującej kraje wysokorozwinięte zużywa 58% światowej produkcji energii oraz 87% światowej produkcji papieru, przypada też na nie 87% światowej liczby samochodów. Kraje wysokorozwinięte, stanowiąc ok. 20% światowej populacji, wytwarzają 53% dwutlenku węgla.

Co wynikłoby zatem z ewentualnego znacznego ograniczenia liczby ludności w ubogich krajach Afryki, Azji czy Ameryki Południowej? Niedużo - bo to nie oni najwięcej konsumują, a zatem „nacisk” na ziemski ekosystem zmniejszyłby się w niewielkim stopniu, jego skutki również. Inna rzecz, że

demografowie już od dawna wiedzą, że ok. roku 2050 wzrost liczby ludności (współczynnik przyrostu naturalnego) osiągnie apogeum, a później światowa populacja zacznie maleć, choć oczywiście z wysokiego poziomu (prawdopodobnie nieco ponad 9 miliardów ludzi).

Często pojawia się demagogiczny zarzut, że krytykując konsumpcję w taki właśnie sposób, odmawia się mieszkańcom ubogich krajów prawa do korzystania ze „zdobyczy cywilizacji”. To zarzut poważny i wyjątkowo podły, w domyśle zawiera bowiem sugestię, że ktoś chce, aby np. Afrykanie dalej umierali z głodu, z braku wody czy lekarstw, które to dobra mają zapewnione niemal wszyscy mieszkańcy „pierwszego świata”. Nie, tu chodzi o coś zupełnie innego – Ziemia chyba nie udźwignie cywilizacji, w której 6 czy 9 miliardów ludzi będzie miało po samochodzie, komputerze, telewizorze, domu i mnóstwie innych gadżetów – ale ta sama Ziemia nie udźwignie znacznie mniejszej, np. 3-miliardowej populacji, w której na osobę przypadną 2 samochody, 2 komputery, 2 telewizory itd.

Oczywiście, jeśli miliard Chińczyków przesiądzie się z rowerów na samochody, to zniszczenie ekosystemu znacznie wzrośnie – ale to nie problem liczby Chińczyków, lecz presji ekonomiczno-kulturowej, która „skłania” ich do posiadania samochodu. O ile pożywienia, wody czy lekarstw nikt normalny nie będzie żałował umierającym Afrykanom, o tyle z pełną odpowiedzialnością mogę napisać, że żałuję Chińczykom zachodniego modelu konsumpcji spod znaku „jedna osoba, jeden samochód” – ale żałuję go także mieszkańcom państw zamożnych. Po prostu problem nie leży w przeludnieniu, lecz w tym, jak ogół mieszkańców globu żyje i do jakiego stanu posiadania i używania aspiruje.

Taki wniosek jest jednak niemiły nie tylko dla zwolenników „rozwoju”, „postępu” i „wzrostu gospodarczego”, lecz również dla wielu tzw. krytyków współczesnej cywilizacji. Bo mit przeludnienia służy – świadomie lub nie – maskowaniu roli i presji na ekosystem tych osób, które żyją sobie jak u Pana Boga za piecem. Oni mogą czerpać z wszelkich dóbr, ale mają świadomość, że gdyby ogół ludzi na Ziemi chciał i mógł żyć tak samo, to szlag by trafił cały ten iluzoryczny „dobrobyt”. Miliard samochodów dla Chińczyków oznacza ogromną ilość smogu, spalin i błyskawiczne zużycie ropy naftowej. Miliard podmiejskich domów dla Hindusów oznacza zabudowanie każdego skrawka przyrody i ogromne zużycie surowców na ten cel. Pół miliarda jednorazowych opakowań na codzienne obiady Afrykanów oznacza tony śmieci. I tak dalej. Więc miłośnicy prostych i egoistycznych rozwiązań chcieliby, aby tychże Chińczyków, Hindusów czy Afrykanów było znacznie mniej – wtedy jakoś sobie z ekologią poradzimy, a jednocześnie nie będziemy musieli z niczego rezygnować. Tymczasem „wolność” od rezygnacji to obecnie podstawowe „prawo człowieka”. W dzisiejszej cywilizacji Zachodu nie ma już ani jednego tabu – jedyna faktyczna reguła tej kultury to zakaz zakazywania czegokolwiek.

Przeludnienie? Owszem, mamy przeludnienie. Na Ziemi jest za dużo takich ludzi, którzy nie zamierzają rezygnować z wszelakich cywilizacyjnych dóbr, ze stałej eskalacji potrzeb, z dążenia do nieustannego wzrostu tzw. poziomu życia. W takim rozumieniu przeludniona nie jest Afryka, lecz amerykańskie przedmieścia, kraje Europy Zachodniej (niemal zerowy przyrost naturalny), a nawet Węgry (przyrost naturalny ujemny). Ale z takim przeludnieniem jakoś mało kto chce walczyć.

Jean-Paul Sartre z nonszalancją napisał kiedyś, że „piekło to inni”. Dzisiejsi krezusi i wtórujący im „ekolodzy” też tak myślą: przeludnienie to inni, ekologiczne piekło to inni. Piekło to nie my – segregujący odpadki, wegetarianie, w samochodach z katalizatorami, z energooszczędnymi żarówkami, piewcy stylu życia spod znaku „environmental friendly”, adepti kultury recyklingu. My jesteśmy niewinni, my z wyżyn oświeconego „zielonego” rozumu będziemy pouczać tych „ciemnych” i „zacofanych” Chińczyków czy Afrykanów. To oni nie dorosli do ekologicznej świadomości i mnożą się niczym króliki, na zgubę naszej kochanej Matki Ziemi, naszej Gai wspaniałej, naszej Bogini XXI wieku. To oni, to nie my...

